TOMASZ CEGNOWSKI

IDEA CIENI

SĄ HISTORIE, OD KTÓRYCH NIE DA SIĘ UCIEC. NAWET JEŚLI TO TYLKO OPOWIEŚĆ.

ORYGINALNA HISTORIA GODNA EKRANIZACJI

IDEA CIENI

Tomasz Cechowski

Tytuł „Idea Cieni”
Copyright © 2026 Tomasz Cechowski.

Wszelkie prawa zastrzeżone
Kopiowanie, przetwarzanie, rozpowszechnianie całości
lub fragmentów bez zgody autora zabronione.

Korekta:
Małgorzata Cechowska
Cecylia Cechowska
Kuba Ratajczak

Redakcja, skład i łamanie:
Tomasz Cechowski

Projekt okładki:
Tomasz Cechowski

Wydawca:
Tomasz Cechowski

ISBN 978-83-974388-7-3
TOMASZ@CECHOWSKI.COM

WWW.CECHOWSKI.COM
Warszawa 2026

Dla mojej żony, dzieci, mamy i teściów,
oraz dla tych, którzy przeczytają tę historię.

Przedmowa

Książkę można w każdej chwili zamknąć, gdy tylko przestanie odpowiadać naszym myślom. Zwykle to proste – wystarczy jeden gest, jedno zatrzymanie. Jednak nie każdą książkę da się zamknąć. Są takie, które, raz otwarte, zostają z tobą na zawsze. Jak echo, które nie cichnie, jak cień, który podąża nawet wtedy, gdy odwracasz wzrok. Słowa zapisane na kartkach albo ukryte w dźwięku, zdają się oddychać, jakby niosły w sobie coś, co wymyka się logicznemu zrozumieniu. Nie proszą o Twoją uwagę, a jednak jej nie tracą.

Ale to tylko książka.

Tylko opowieść.

Prolog

Budziła się ospale, jakby z trudem przebijała się przez gęstą mgłę. Na początku wszystko było tylko zbiorem wrażeń – ciepło otulające plecy, miękka faktura i łagodne światło przedzierające się przez jej zamknięte powieki. Ciało powoli odbierało bodźce, choć myśli jeszcze nie nadążały za doznaniami. Była jak po omdleniu – fizycznie obecna, lecz umysł błądził gdzieś daleko, zdezorientowany, mający problem z poskładaniem myśli w jedną całość.

To uczucie przypominało plażowy poranek, gdy ciepły piasek ogrzewa skórę. Po chwili niemal instynktownie się rozluźniła, a usta drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. Trwało to zaledwie moment. Wkrótce uświadomiła sobie coś jeszcze – kompletną ciszę. Brak odgłosów, gwaru ludzi, ulicy, tykania zegara czy chociażby kroków za ścianą. Nic nie zakłócało tej martwej przestrzeni, która wwiercała się w myśli i nie chciała zniknąć. Uniosła z trudem powieki, cały czas walcząc z nadmiernym ciężarem senności. Światło sączyło się równomiernie, bez wyraźnego źródła.

Otworzyła oczy szerzej. Otaczała ją zakrzywiona, jednolita powierzchnia – delikatna, biała i ciepła. Skierowała głowę w dół. Leżała plecami na czymś przypominającym stół, idealnie dopasowanym do jej sylwetki i subtelnie ogrzewającym jej ciało. Miękkość podłoża miała w sobie coś kojącego, jednak to uczucie zaczęło rodzić dziwny dyskomfort.

Jej ciało okrywały jedynie wąskie, białe pasy materiału okalające piersi i biodra. Materiał opasek był niezwykle delikatny, niemal wtapiający się w skórę bez śladu nierówności. To uczucie, choć fizycznie komfortowe, budziło w niej narastający niepokój. Serce zabiło mocniej, a usta wyschły w jednej chwili, jakby coś wyssało z nich ostatnią wilgoć.

Wybudzona nagłym przypływem energii, poderwała się do siadu. Włosy rozsypały się na jej ramionach, a przepaski opadły, obnażając ciało. Wstyd ścisnął ją tylko na sekundę. Odruchowo zakryła dłonią pierś, a drugą próbowała zasłonić biodra. Jednak to uczucie szybko ustąpiło miejsca innemu – panicznemu strachowi.

– Gdzie ja jestem? – wyszeptała. Jej głos zgasł natychmiast, wchłonięty przez otaczające ją ściany. Próbowała poskładać myśli, ale w głowie nadal miała tylko pustkę. Nie pamiętała tego, kim jest ani jak się tutaj znalazła. Spojrzała wokół, próbując złapać oddech, lecz powietrze wydawało się gęstsze niż zwykle. Dłonie zadrżały, a skóra pokryła się gęsią skórką, mimo komfortowego ciepła w całym otoczeniu.

Pomieszczenie miało kształt kuli – perfekcyjnie symetrycznej, zamkniętej, o średnicy około dziesięciu metrów, całkowicie odciętej od świata. Światło wydobywało się równomiernie z każdej strony, co sprawiało, że przestrzeń wydawała się jeszcze bardziej klaustrofobiczna i ograniczona.

– Czy ktoś tu jest? – zawołała, lecz odpowiedziała jej tylko cisza. Serce przybrało rytm wystraszonego ptaka więzionego w klatce, a myśli rozpaczliwie szukały logicznego wytłumaczenia. Nic jednak nie przychodziło do głowy prócz narastających, paraliżujących myśli.

Zeskoczyła ze stołu. Podłoże było ciepłe i miękko uginało się pod naciskiem stóp. Zakrzywiona powierzchnia pomieszczenia sprawiała, że każdy krok był chwiejny. Miała wrażenie, że grawitacja zmienia się z każdym ruchem, jakby sama przestrzeń próbowała utrudnić jej poruszanie się. Ku jej zdziwieniu stół unosił się w powietrzu, zawieszony bez żadnej podpory. Stalowy, lśniący, pozbawiony detali – prosta, zimna bryła, której górę pokrywała miękka, delikatna warstwa.

Niepewnie podeszła do ściany, delikatnie dotykając struktury. Pod palcami była gładka, sprężysta, napięta jak organiczna tkanka. Materiał lekko uginał się, a w mlecznobiałej strukturze migotały drobne jasne smugi, niczym pulsujące żyły.

Usłyszała szmer. Obróciła się przez ramię. Wtedy ich zobaczyła.

Za jasną ścianą, kilka metrów dalej, majaczyły dwie sylwetki – ludzkie kontury rozmyte niczym we mgle. Stały nieruchomo, zwrócone w jej stronę. Ruszyła w ich stronę, niemal potykając się, i przyłożyła dłonie do jasnej, mlecznej, półprzezroczystej powierzchni.

– Słyszycie mnie?! – krzyknęła rozpaczliwie. – Pomóżcie mi!

Po chwili jedna z postaci odwróciła się i odeszła w dal. Druga zawahała się na moment, po czym również zniknęła we mgle.

Zacisnęła pięści i zaczęła okładać powłokę kuli, uderzając w nią z całych sił. Materiał uginał się ledwie zauważalnie, sprężyście odpychając jej dłonie, co tylko potęgowało poczucie bezradności.

– Nie odchodźcie! – wołała w amoku, osuwając się na podłogę.

Odeszli.

Została sama.

Tętno przyspieszyło, a gardło bolało ją od krzyku.

Wtedy coś przykuło jej uwagę – drobny kontur, małe, niemal niewidoczne owalne drzwiczki, wtopione w powierzchnię kuli. Podbiegła do niego. Wbiła opuszki palców w wąską, niemal niewidoczną szczelinę, próbując ją otworzyć. Palce ześlizgiwały się z gładkiej krawędzi, nie znajdując żadnego oparcia i nie dając możliwości porządnego chwytu. Ponownie naparła całym ciałem, próbując otworzyć, lecz tworzywo ani drgnęło. Wyglądało na zlane z resztą konstrukcji – gładkie, jednolite, jakby stanowiło jej integralną część. Uderzała w nie pięściami i wrzeszczała, lecz wszelki dźwięk tonął w powierzchni, wchłonięty bez śladu, jakby sama przestrzeń szydziła z jej bezradności.

Nagle podłoże szarpnęło się gwałtownie. Cała kula zaczęła obracać się wokół własnej osi, jakby ktoś brutalnie przekręcił ją w przestrzeni. Konstrukcja obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, a ona została rzucona na bok, bez szans na reakcję. Upadła na bok, a sprężysta powierzchnia ugięła się pod jej biodrem, łagodząc ból, jednocześnie potęgując dezorientację. Oszołomiona, na oślep próbowała chwycić się czegokolwiek, szukając oparcia. Drzwiczki, które jeszcze przed chwilą były przed nią, teraz znajdowały się wysoko, niemal na suficie.

Nagle ciszę przerwał mechaniczny syk, dobiegający z góry. Kobieta uniosła głowę, a klapka z trzaskiem odskoczyła na bok.

Nadzieja pojawiła się nagle. Była krótka oraz intensywna, lecz zgasła, gdy z otworu wysunęło się duże, lśniące, mechaniczne ramię z przymocowanymi rurkami pulsującymi czerwonym światłem. Każdy jego ruch był płynny, precyzyjny i pozbawiony cienia wahania. Na

końcu znajdował się chwytak – coś, co przypominało ludzką dłoń połączoną z narzędziem chirurgicznym.

Przez moment patrzyła jak sparaliżowana. Serce niemal się zatrzymało, a czas zwolnił. Maszyna zdawała się ją obserwować, chłodno analizując każdy ruch. Instynkt kazał się cofnąć. Szarpnęła się do tyłu, ale dłonie bezradnie ślizgały się po gładkiej powierzchni.

Po chwili metaliczne ramię z impetem wystrzeliło ku niej. Stalowy chwytak w jednej chwili zacisnął się na talii kobiety. Uścisk był mocny i coraz bardziej bezwzględny – niemal miażdżący jej ciało. Po chwili maszyna uniosła ją w górę z taką łatwością, jakby była tylko szmacianą lalką. Kobieta krzyczała, szarpiąc się z całych sił, lecz stalowy potwór nie dał jej żadnych szans.

W jednej chwili cisnął jej ciałem o stół.

Uderzenie wyrwało z niej ostatnie resztki powietrza, a klatka piersiowa uniosła się spazmatycznie, w desperackiej próbie złapania oddechu. Powierzchnia stołu niemal natychmiast przyssała jej ciało. Skóra pleców przykleiła się do podłoża, niczym do macek ośmiornicy, odbierając kobiecie możliwość ruchu. Każda próba poruszenia ciałem kończyła się fiaskiem. Mogła tylko bezradnie patrzeć, jak spod boków stołu wysuwają się cienkie, półprzezroczyste rurki. Bardziej organiczne niż mechaniczne, zakończone na końcach igłami oraz chromowanymi elementami.

Po chwili jedna z nich wbiła się w ramię ofiary, inna wsunęła się wprost do nosa, a kolejne powoli oplatały jej nogi. Chłodny płyn rozlał się po żyłach, a pod skórą zapłonęły świetliste punkty, układając się w skomplikowaną mapę organizmu.

Panika jeszcze buzowała w jej głowie, lecz ciało z sekundy na sekundę coraz bardziej traciło siłę do walki. Mięśnie stawały się coraz bardziej wiotkie, a oddech zwalniał. Z każdą kolejną sekundą resztki strachu powoli odpływały w dal, jakby ktoś odłączył jej układ nerwowy od strachu.

Spokój zaczął wypełniać jej umysł.

Metaliczne ramię zawisło tuż nad jej twarzą. Po chwili z końca chwytaka wysunęły się cienkie, stalowe rurki, a z ich zakończeń rozwinęły się pęczki drobnych, igiełkowatych szczoteczek. Powoli skie-

rowały się w stronę jej oczu. W kilka chwil oplotły każdą rzęsę, chwytając je z niemal chirurgiczną precyzją. Teraz była już tylko obserwatorką – biernym świadkiem tego, co się z nią działo.

Ramiona mechanizmu pracowały równomiernie. Metalowe włoski trzymały kurczowo jej rzęsy, wymuszając rytmiczne otwieranie i zamykanie powiek. Ruch był stały, niemal hipnotyzujący.

Zamknij. Nawilż. Otwórz. Nie było tu miejsca na bunt.

W pomieszczeniu powoli zaczęła rozbrzmiewać muzyka poważna. Dźwięki Beethovena stopniowo wypełniały przestrzeń, niczym aromat, który z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. Miękkie tony otulały delikatnie jej zmysły, pozbawiając umysł wszelkich trosk.

Zamknij, nawilż, otwórz…

Następnie pojawił się głos – ciepły, spokojny, łagodny jak kojący szept: „Wydawnictwo Astralis przedstawia: Znaki Posłańców, autorstwa Darcy Odell. Czyta Tom Evermont.

Jane Doser skrupulatnie prasowała koszulę, przesuwając żelazkiem z precyzją godną oprawiacza opali. Dbała o każdy najmniejszy detal – od kołnierzyka po mankiety, jakby od tej perfekcji zależało coś więcej, niż tylko wygląd ubrania…”

Kobieta mogła tylko leżeć.

Mogła tylko słuchać.

Chciała tego.

Część I

Rozdział 1

Pracownica linii lotniczych przesunęła bilety po blacie i z wyuczoną uprzejmością powiedziała: „Lot LF7784. Życzymy przyjemnej podróży". Mężczyzna w błękitnej koszuli i czarnej, skórzanej kurtce skinął głową, chwycił dokumenty i ruszył w stronę głównej hali lotniska O'Hare w Chicago. W jego dłoniach kołysały się bilety i paszport, a plecak przewieszony przez jedno ramię delikatnie poruszał się przy każdym kroku, rzucając cień na błyszczącą posadzkę. Przepływ ludzi i dźwięków jednego z największych lotnisk na świecie pochłonął go w momencie, gdy opuścił stanowisko odprawy bagażowej.

Terminal, przestronny i wypełniony słonecznym światłem wpadającym przez szklany sufit, pulsował energią porannego szczytu. Ogromne, charakterystyczne stalowe filary podtrzymywały dach, a przelatujące nad lotniskiem samoloty rzucały cienie do jego wnętrza. Ludzie przemieszczali się we wszystkich kierunkach – jedni szybko, z wyraźnym celem, inni wolniej, nieco zdezorientowani.

Tuż obok fontanny, w centrum hali, kobieta z dzieckiem na biodrze zmagała się z ciężką walizką, próbując jednocześnie utrzymać równowagę na wysokich szpilkach. Mężczyzna w średnim wieku z laptopem pod pachą stanął pośrodku korytarza. Zastygł, wpatrzony w tablicę odlotów, nieświadomy, że blokuje przejście. Za jego plecami zbierał się tłum zniecierpliwionych pasażerów, niektórzy przystawali, inni omijali go z wymownym westchnieniem.

Przy bramkach bezpieczeństwa kolejki wydawały się nie mieć końca. Pasażerowie w pośpiechu rozbierali się ze wszystkiego, co mogło uruchomić skanery. Plastikowe tacki wędrowały po taśmach w regularnym rytmie stukotu, wypełniane po brzegi laptopami, butami i zegarkami. W tle rozbrzmiewały komunikaty, które wciąż brzmiały obco.

Mechaniczny, monotonny głos kobiety z głośnika zdradzał powtarzające się nuty narastającej niecierpliwości. Jedna z tacek zsunęła się z taśmy, powodując głośny brzęk. Strażnicy rzucili zniecierpliwione spojrzenia, a pasażer, który spowodował zamieszanie, pospiesznie zbierał swoje rzeczy z podłogi, starając się ukryć na twarzy widoczne zakłopotanie.

Gdy kolejka zaczęła się przesuwać dalej, na jej przodzie pojawiło się kolejne poruszenie. Dwóch strażników wyprowadzało mężczyznę w ciemnym garniturze, który usiłował coś tłumaczyć, energicznie przy tym gestykulując.

W jednej chwili atmosfera się zmieniła – dynamiczny gwar ucichł, a powietrze stało się ciężkie i gęste od napięcia. Pasażerowie szeptali, wymieniając krótkie spojrzenia. Przesuwali się ciszej i wolniej, jakby nie chcieli ściągać na siebie dodatkowej uwagi. W powietrzu czuć było niepokój – jakby każdy stojący w szeregu obawiał się, że nagle sam zostanie wywołany z tłumu.

Za strefą kontroli bezpieczeństwa przestrzeń diametralnie uległa zmianie – terminal otwierał się na słoneczną strefę sklepów i restauracji, a obfita woń mieszanki eksponowanych perfum, mieszała się z aromatem świeżo wypiekanych ciast z tutejszych kawiarni.

W jednym z butików kobieta w średnim wieku starannie porównywała dwa identyczne szklane flakony pełne perfum, jakby ten wybór miał wpłynąć na resztę jej podróży. Kilka kroków dalej mężczyzna we wzorzystej, krzykliwej koszuli przewracał w dłoniach butelkę whisky, studiując etykietę tak intensywnie, jakby w niej szukał odpowiedzi na życiowe pytania.

W części gastronomicznej tłum ludzi zasiadał przy równo ustawionych stolikach. Na blatach niektórych z nich leżały porozrzucane w pośpiechu, poplamione kawałki serwetek. Część podróżnych jadła pospiesznie w milczeniu, inni pochylali się nad telefonami, robiąc zdjęcia swoich dań, chcąc uchwycić unikalność posiłków, które za chwilę miały zniknąć z ich talerzy.

Młoda kobieta z idealnie ułożonymi włosami przesuwała kubek kawy po blacie, by uchwycić najlepszy kadr. Robiąc zdjęcie, rozjaśniła twarz szerokim uśmiechem, który równie szybko zgasł, gdy tylko wyłączyła smartfon. W tle ktoś głośno rozmawiał przez telefon, ale jego

słowa ginęły wśród gwaru, który szybko przestawał mieć jakiekolwiek znaczenie.

Korytarze wiodące do bramek odlotów były już nieco spokojniejsze, choć wciąż wypełniane napływającymi zewsząd ludźmi. Część pasażerów siedziała na plastikowych krzesłach, inni przysypiali, opierając głowy na swoich bagażach. Z głośników dobiegły komunikaty, w których niecierpliwość samego lotniska wydawała się nieustannie rosnąć.

Starsza kobieta o surowym, uporządkowanym wyglądzie trzymała na kolanach wiekowy portfel z wyblakłej skóry. Nerwowo otwierała go i zamykała palcami, co chwilę sprawdzając, czy bilety lotnicze wciąż są na swoim miejscu. Zaciskając usta, przyciskała portfel mocno do siebie, jakby bała się, że ktoś mógłby wyrwać go w chwili nieuwagi. Wzrok odrywała tylko na moment, zerkając na zegar ścienny, jakby chciała upewnić się, że zdąży na oczekiwany lot.

Niedaleko, inna kobieta w jaskrawoczerwonym płaszczu spała z głową opartą o torbę podróżną, a obok niej starszy mężczyzna, przegryzając język zębami, rozwiązywał krzyżówkę. Dwie nastolatki siedzące obok pochylały się nad telefonem, cicho śmiejąc się co kilka sekund. W tle dało się słyszeć turkot walizek, które ciągnęli ludzie w pośpiechu, próbując zdążyć na swoje loty.

Zgiełk momentami przygasał, ustępując bardziej stonowanej atmosferze.

Jednak każdy chwilowy spokój co chwilę zakłócały dzieci biegające między niekończącymi się rzędami foteli. Ich śmiechy odbijały się echem po hali, ku wyraźnej irytacji ich zmęczonych rodziców.

Jeden z chłopców, ubrany w czerwony sweterek z kiczowatym wzorem przedstawiającym pokracznego, blaszanego ludzika z dużymi oczami, upuścił coś na podłogę. Mała figurka potoczyła się po posadzce, aż zatrzymała się przy butach mężczyzny siedzącego w rzędzie krzeseł.

Figurka przedstawiała postać z gitarą i charakterystycznymi grubymi okularami, a na jej podstawce widniał napis: „Buddy Holly – Lubbock, TX”. Chłopiec podbiegł energicznie do swojej zguby, lecz zamiast od razu sięgnąć po zabawkę, zatrzymał wzrok na butach mężczyzny, jakby coś w nich przykuło jego uwagę.

Były to czarne, mocno znoszone trampki z wytartymi noskami i splątanymi niegdyś białymi sznurówkami, które ledwo trzymały się w całości. Przybrudzone, jakby nosiły ślady wielu wędrówek, nie pasowały do schludnych butów dorosłych, którzy zwykle mijali się na lotnisku. Chłopiec, kucając, spojrzał wyżej, jakby coś go zaintrygowało.

Znoszone, ciemne dżinsy z dużą dziurą na kolanie. Na biodrach zawieszona granatowa, sprana katana bez rękawów, zdobiona naszywkami – w tym niezdarnie wyszytą czerwoną nicią łatką przedstawiającą symbol przypominający literę ‘A’ wpisaną w okrąg, wyblakłym logo punkowego zespołu i dużym czerwonym napisem „Niepokonany” na plecach. Na nadgarstku dostrzegł skórzane bransoletki, wytarte i noszone, jakby od zawsze. Chłopiec powędrował wzrokiem jeszcze wyżej – szara sfatygowana bluza z kapturem, z małą, ale widoczną dziurą na rękawie. Kaptur spoczywał na jego plecach, jakby tylko czekał na moment, by odciąć go od reszty świata. Kiedy go naciągał, stawał się barierą, która pozwalała mu zniknąć we własnej, bezpiecznej przestrzeni i ukryć twarz przed wzrokiem obcych ludzi.

Na szyi mężczyzny spoczywał cienki, srebrny łańcuszek – jedyny element, który wydawał się mieć bardziej wartość sentymentalną niż estetyczną. Na uszach miał duże, czarne, wysłużone słuchawki z metalicznymi akcentami – wyglądały na solidne, ale jednocześnie nadgryzione zębem czasu. Na jednym z nauszników widniała czerwona obdrapana naklejka z napisem „Rock On”.

Chłopiec po chwili przeniósł wzrok na jego twarz. Była szczupła, z ostrymi, wyrazistymi rysami i lekkim zarostem. Jego krótko przystrzyżone, ciemne włosy wydawały się niedbale rozczochrane, jakby nigdy nie zaprzątał sobie nimi głowy – choć pojedynczy kosmyk grzywki opadał na czoło. Ciemnobrązowe oczy patrzyły przenikliwie, z chłodną obojętnością, która mogła zarówno fascynować, jak i odpychać. Na ustach nie było uśmiechu. Jedynie lekki grymas, jakby właściciel twarzy widział już zbyt wiele, by przejmować się teraźniejszością. Sprawiał wrażenie, że jest nieustannie w drodze, ale jego kierunkiem było bardziej życie niż konkretne miasto, do którego właśnie zamierzał się udać.

Lucas West uniósł lekko głowę, rzucając dziecku kucającemu tuż przed nim krótkie, przenikliwe spojrzenie, które zdawało się przeszywać na wskroś.

Chłopiec momentalnie odwrócił wzrok, wstrzymał oddech i szybko podniósł figurkę z podłogi, kurczowo ściskając ją w dłoni.

– Chodź tu Buddy – rzucił cicho pod nosem, jakby w obawie, że mężczyzna może go uprzedzić.

Odwrócił się na pięcie i zaczął biec w stronę rodziców. W połowie drogi odważył się jeszcze raz zerknąć przez ramię, jakby upewniając się, że mężczyzna nie ruszył się z miejsca. W jego spojrzeniu była ciekawość, ale także coś więcej – niewytłumaczalny lęk, jakby instynktownie wyczuwał, że ten człowiek nie przypomina nikogo, kogo dotychczas widział.

Lucas z powrotem oparł plecy o krzesło, jakby po raz kolejny próbował znaleźć wygodną pozycję w świecie, który od dawna zdążył mu się wyślizgnąć z rąk. Zamknął oczy i ponownie chciał zapomnieć o wszystkim, co go otacza. Mózg wciąż był pełen rozpraszających myśli, ale muzyka, która wypływała z głośników, stawała się jedyną rzeczą, trzymającą go nadal przy zdrowych zmysłach. To była ta sama muzyka, która codziennie działała jak kojący narkotyk. Trochę za głośna, zbyt szybko zmieniająca rytm, ale wystarczająco bliska, by wyciszyć chaos w jego głowie.

Zatopił się w dźwięku, pozwalając, by wypełnił go po brzegi, jakby nie chciał już myśleć o niczym innym. Wtedy, jak za sprawą jakiegoś nieproszonego zaklęcia, dźwięk telefonu rozbił ten chwilowy spokój.

SMS.

Kiedyś by go zignorował, ale teraz, z niechęcią, wyciągnął z kieszeni bluzy telefon, po czym zerknął na ekran.

Anna: „Pamiętaj, że w piątek masz się zgłosić po resztę swoich rzeczy.”

Czy było coś gorszego niż ten tekst? Może to, że wciąż to ona dyktowała warunki. To ona decydowała, co zostanie, a co można wyrzucić z jego życia jak kolejny niepotrzebny przedmiot.

„Reszta rzeczy”.

Tylko tyle.

Treść odczytywanej wiadomości zabolała niczym cios wymierzony prosto w żołądek. Zacisnął palce na telefonie, jakby chciał go zgnieść,

ale wciąż nie mógł oderwać wzroku od tych słów. Była to ta sama wiadomość, którą dostawał wiele razy od innych kobiet, kiedy relacja się kończyła. Krótka, rzeczowa, znowu bez uczucia, bez nadziei, bez żadnej szansy na to, by poczuł się mniej pusty niż przedtem.

Rozstanie było dla niego już niemal codziennością. Jak zamykanie oczu i ponowne ich otwieranie, w nadziei, że jutro będzie inaczej.

Że w końcu się uda…

W głowie kołatały mu się obrazy z przeszłości. Te wspaniałe początki, kiedy naiwna nadzieja wciąż płonęła w nim, jak świeca, ledwo trzymająca się swojego knota. Następnie przelewająca się tama ciągłych pytań, rozczarowanie i rychły koniec.

Znów to samo. Znów zerwanie, które nie miało żadnego sensu. Znowu ona, stojąca w progu z tym okrutnym, pełnym goryczy spojrzeniem i ponownie on, próbujący przekonać samego siebie, że to nie jego wina. Oczywiście, że nie jego. W końcu, kiedy kobieta zaczyna patrzeć na ciebie, jakbyś był tylko cieniem, kiedy twój brak sukcesu przestaje być czymś, co można zmienić, to wszystko w jednym momencie się wali.

Zwykle to one odchodziły.

Przepełniała go jakaś dziwna bierność, jakby od lat powtarzał ten sam, marny scenariusz. Był zawodowym nieudacznikiem, ścigającym iluzję bogactwa. Gdy tylko ktoś otworzył mu drzwi do nadziei, on wchodził gotowy, by natychmiast porzucić wszystko, dla szybszej drogi. Zwykle był to hazard. Wygrana. Ta wielka wygrana, która miała go wyrwać z niekończącej się beznadziei, a która nigdy nie nastąpiła.

Praca w sklepie AGD była tylko etapem przejściowym. Anna to akceptowała, ale tylko do czasu. Na początku wydawało się, że rozumie jego plany, że widzi w tym wszystkim cel – że go wspiera. Jednak z czasem, jej cierpliwość zaczęła się kruszyć, jakby każdy kolejny dzień monotonii, był kolejnym dowodem na to, że jego marzenia nie mają szans na spełnienie. Czuł, że to, co dla niego było tylko przerywnikiem, dla niej zaczynało wyglądać jak jego definicja życia.

Szedł przez wszystkie te lata jak przez długą, ciemną ulicę, której koniec zawsze wydawał się zbyt odległy, ale nie mógł przestać marzyć, że to właśnie tam – w jednym szybkim, szalonym ruchu – wszystko się zmieni.

Być może to właśnie zmęczenie, ta nieuchronna życiowa rutyna sprawiły, że w końcu poczuł silniej, że musi uciec. Uciec od wszystkiego, co go trzymało w miejscu. W czymś, co przestało już być życiem, a stało się tylko czekaniem na coś, co nigdy nie nadchodzi. I w tej chwili, gdy nic już nie wydawało się wystarczająco realne, miał jedną trwałą rzecz, którą właśnie trzymał w rękach – bilety do Vegas. Właśnie tam ma zamiar wygrać. Jest tego pewien i taki ma plan.

Poczuł, jak jego ciało reaguje na tę myśl z rosnącą ekscytacją, lecz nie była to euforia, a raczej coś na kształt zimnej, mechanicznej determinacji. Jakby uruchomił automatyczny tryb, który miał go poprowadzić w stronę nieznanego.

Jutro zaczynam od nowa – pomyślał, choć nie potrafił wyobrazić sobie, co dokładnie miałoby to znaczyć. Jakby przez całe życie balansował na krawędzi, nieprzerwanie na granicy między tym, co było, a tym, co mogło się zdarzyć. Czuł, że gdy wreszcie ruszy w tę podróż, jego życie w końcu się odmieni.

Jednak w tej chwili myśli o Annie krążyły w jego głowie niczym stary, wyświechtany winyl, nieustannie odtwarzający tę samą, przygnębiającą melodię. To one powracały upiornie, nawet w obliczu ekscytującej, niemal euforycznej myśli o Vegas – miejscu, które miało być jego wielkim przełomem.

Była jak cień, którego nie sposób się pozbyć z umysłu. Przypominała mu o porażkach, które zostawił za sobą i pustce, którą wciąż czuł. Westchnął ciężko, jakby chciał odgonić wspomnienia siłą woli, ale szybko zrozumiał, że nie ma to sensu.

Przekręcił głowę, wyrywając się z myśli. Wyciągnął telefon, licząc, że znajdzie w nim coś, co na chwilę uwolni go od trwającej w najlepsze wewnętrznej burzy. Odpalił media społecznościowe, po czym zaczął przewijać ekran. Palec sunął po ekranie szybciej, niż umysł zdążył przetwarzać nadlatujące obrazy, aż w końcu natrafił na coś śmiesznego.

Jedna z rolek przedstawiała psa leżącego na podłodze, który przez sen zaczął „biegać", poruszając łapami w powietrzu. W pewnej chwili coś lekko go wybudziło, więc nagle zerwał się na nogi i, wciąż jakby śniąc, wyrwał do przodu, strącając stojący obok wazon. Głośny brzęk tłuczonego szkła momentalnie go otrzeźwił.

Lucas West parsknął odruchowo śmiechem – cicho, bardziej do siebie, ale prawdziwie. Zaraz potem kolejna rolka. Roześmiane dziecko przewróciło się na wielkiej dmuchanej poduszce w basenie, a jego minę uchwycono w zwolnionym tempie. Na twarzy Lucasa pojawił się kolejny nieskrywany uśmiech.Przewijając dalej nieskończone ilości treści, w pewnym momencie natknął się na coś, co na początku minął bez zainteresowania. Cofnął się jednak, jakby jego podświadomość podpowiadała mu, że to warte uwagi.

Przewijał ekran telefonu, szukając czegoś, co zajmie jego myśli. Zatrzymał się na reklamie: pieniądze, błyszczące neony, obraz kasyna w Vegas. Głos lektora brzmiał poważnie: „Nie wszystko, co tracisz, jest porażką. Nie wszystko, co wygrywasz, jest sukcesem". A potem: „Vegas potrafi postawić na nogi... i dobrze rozerwać. Sekret sukcesu nie leży na powierzchni. Znajdź go tam, gdzie nikt inny nie szuka".

Przewrócił oczami. Jasne, bo jak już upadnę, to na pewno będzie sukces, nie porażka. Dzięki za wsparcie, reklamo – parsknął pod nosem z rozbawieniem, szykując palec do dalszego slidowania.

Na końcu reklamy pojawiła się okładka książki. U góry złoty napis „Idea Cieni", na środku żeton do gry zatopiony w kolorowej kałuży, a poniżej tekst „Vegas to dopiero początek. Dzięki tej książce poznasz sekrety, o których nie mówi nikt. Prawdziwe życie, prawdziwe ryzyko i duże pieniądze".

Westchnął, ponownie przewrócił oczami, ale coś go powstrzymało przed przewinięciem. Może to była pewność w głosie lektora, może obrazy spadających w zwolnionym tempie banknotów. A może po prostu niepokojąca myśl, że coś go może ominąć. Jakaś tajemna wiedza, którą posiadają nieliczni.

Dobra, co mi tam – powiedział do siebie, klikając w link prowadzący do darmowego fragmentu. – Jak już kasyna mnie zmasakrują, przynajmniej będę miał czego słuchać, leżąc przy basenie.

Nie zdążył nawet się rozsiąść wygodniej, gdy usłyszał narastający szmer wokół siebie. Na ekranach wyświetliła się informacja o otwarciu bramki jego lotu, a głośniki wypluły w przestrzeń hali standardowe ogłoszenie:

„Prosimy pasażerów lotu do Las Vegas o ustawienie się w kolejce przy bramce numer 14. Boarding właśnie się rozpoczyna."

Lucas spojrzał w stronę bramki, gdzie zaczęła formować się kolejka. Kilkoro pasażerów zerwało się z miejsc, porzucając niedojedzone kanapki, lecz on powoli oceniał sytuację. Rodziny z rozwydrzonymi dzieciakami ruszyły przodem, zajmując strategiczne miejsca, gdzieś na końcu zbierał się tłum tych, którzy nie zamierzali się spieszyć, a reszta szykowała się do porzucenia miejsc siedzących.

Nie czekał ani chwili dłużej. Wstał, przeciągnął się lekko, podniósł plecak z podłogi i ruszył w stronę kolejki, nim rozrośnie się na dobre. Nie miał zamiaru ryzykować, że linia lotnicza nagle ogłosi overbooking i będzie musiał zrezygnować z lotu. W tych czasach to jak rosyjska ruletka – pomyślał z przekąsem, stając w tworzącej się kolejce. Zdążył zająć miejsce niemal na jej początku, tuż za rodzicami z dziećmi, starszym mężczyzną z książką w ręku i młodą kobietą, która pod pachą ściskała ogromną, pluszową pandę. Patrząc na rozmiar maskotki, zastanawiał się, czy przypadkiem nie wykupiła mu osobnego biletu albo czy to właśnie ona nie zajmie jego miejsca.

Pełna wersja książki do kupienia na stronie www.cechowski.com